PROGRAM
ŚMIERĆ MARATA
ROK 2032

MAREK CIECIERSKI

PROGRAM ŚMIERĆ MARATA

ROK 2032

Warszawa 2026

Copyright © by Marek Ciecierski
Copyright to this edition © by Wydawnictwo Prohibita

ISBN:
978-83-67453-42-4

Projekt okładki:
Anna Słapek
Redakcja i korekta:
Magdalena Torczyńska-Moradi

Wydawca:
Wydawnictwo PROHIBITA Paweł Toboła-Pertkiewicz
www.prohibita.pl
wydawnictwo@prohibita.pl
Tel: 22 425 66 68
www.facebook.com/WydawnictwoProhibita

Sprzedaż książki w Internecie:
multibook.pl
KSIĘGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

– Wspomnienie sprzed lat –

Bardzo chcieli ją zobaczyć…

…i dlatego czekali na kuternogę w jednej z bram na ulicy Wilczej w Warszawie. Spóźniał się, chociaż jest właścicielem „pierdziaszki", bo właśnie tak nazywa swój motorower. Mimo wszystko chcieliby mieć taką „pierdziaszkę", ale mają tylko rower, czasami dwa. Jeden rower ma Andrzej, syn dziennikarza. Jest także Sabinka. To jedyna dziewczyna w ich grupie. Sabinka nie ma roweru, ale ma zasmarkany nos i kokardy we włosach. Ona też chce ją zobaczyć, a może nawet dotknąć. Jest ciekawa, zdolna, a w szkole ma same piątki. W tym piątkę z zachowania. Jest także Staś. Na nogach ma modne ocieplane śniegowce. I jest on. Jasiu. Jasiu nie ma ani roweru, ani ocieplanych śniegowców. Jest synem murarza.

Czekają na kuternogę. On będzie ich przewodnikiem. On ich tam zaprowadzi. Pada śnieg. Marcowy. Po czym poznać, że marcowy? W zasadzie po niczym. Może tylko po tym, że jest mokry i natychmiast topnieje. Ale taki był marzec 1968 roku. Po chwili kuternoga przyjechał pijany w trzy dupy. Co to dokładnie znaczy? Tego nie wiedzieli. Dlaczego akurat trzy, a nie na przykład cztery dupy? Już z daleka usłyszeli jego „pierdziaszkę". Kuternoga jedną nogę miał krótką, a drugą długą, ręce powykręcane, może dlatego, że nigdy nie schodził z motoroweru. Podobno śpi w łóżku z motorowerem. Tak gadają ci, którzy się znają na motoryzacji.

– To jak? Chcecie ją zobaczyć? – zapytał – Nie boicie się?

– Nie! Nie! Nie boimy się! – odkrzyknęli.

Było ich siedmioro: sześciu chłopaków i jedna dziewczyna. Mieli od dziewięciu do dwunastu lat.

– Macie kasę? – dopytał, kierując światło pojazdu na ich podekscytowane twarze. Dali mu trzydzieści złotych, to były pieniądze składkowe, zbierane przez kilka dni. Ta kasa starczy na jedną alpagę i pół. Kazał iść za sobą. Wjechał w bramę, a oni szli za nim. Jak kurczęta za pijanym kogutem.

Stanęli. Rozejrzeli się. Na szczęście śnieg przestał padać, zresztą i tak śniegu było w tym roku niewiele. Za mało, aby ulepić bałwana, nawet takiego małego. Poza tym i tak powoli wyrastali z wieku, w jakim lepi się bałwany, a jeśli jeszcze nie wyrośli, to bardzo chcieli wyrosnąć.

– Gotowi jesteście?

– Tak – odpowiedzieli chórem. – Gotowi jesteśmy. Pokaż nam ją.

Wskazał im drewnianą szopę i położył palec na ustach. Zsiadł z motoroweru, co samo w sobie było wielkim wydarzeniem, o którym będzie można opowiadać przez następny tydzień. Nakazał im iść za sobą. Otworzył drzwi do komórki. Na stercie skrzynek, szpargałów, worków z kartoflami, w towarzystwie pustych butelek leżała ona. Sukienkę miała podwiniętą, spod której wystawały, wyrastały, a nawet wypełzały dwie tłuste nogi.

– Widzicie – wskazał palcem kuternoga – właśnie tak wygląda dziwka. Chcecie ją pomacać, to już ekstra pięć dych.

Wybiegli z komórki. Wszyscy. Andrzejek uciekł pierwszy. Miał rower. Sabinka też uciekała, biegła tak, że dyndały jej warkoczyki.

Tak to pamięta.

On zaś został. Nie to, że chciał pomacać tę dziwkę z tłustymi nogami, ale dlatego, że jego nogi wrosły w ziemię.

– No co tak stoisz? Rusz się, rusz się… Pomacaj sobie! – śmiał się kuternoga. Dziwka w końcu otworzyła jedno oko. Potem drugie. Gdyby miała trzecie, też by je otworzyła. Ziewnęła.

– Och, jaki ładny chłopiec… Chodź do mnie. Dam ci się pomacać za darmo.

Dopiero wtedy uciekł. Biegł ulicą Wilczą, potem wbiegł na Plac Konstytucji, tej Lipcowej. O tej godzinie plac był prawie pusty. Tylko gdzieś daleko ktoś krzyczał. Ktoś biegł. I czegoś chciał. A ktoś inny uciekał. I znowu, po chwili, kilkoro ludzi biegło, a ktoś uciekał. A potem na plac przyjechała milicja. Mieli takie nyski. Suki, tak te wozy wtedy nazywano. Suki.

– Suki! Suki! Jadą suki! – krzyczano. I uciekano do bram, uciekano wszędzie.

Jasiu nic z tego nie rozumiał. Dziwki. Suki. Dziwki. Suki… Czyżby to wszystko, co się działo, było przez tego kuternogę na motorowerze? Zwolnił kroku, ponieważ wiedział jedno, uciekać teraz nie może. Zdradzi siebie, zdradzi kolegów, zdradzi także Sabinkę. A ona ma piątki w szkole i jest tam grzeczna.

Więc szedł wolno, spokojnie. Tak, jakby wracał z urodzin u cioci albo z lekcji religii w pobliskim Kościele Zbawiciela. Krok po kroku, krok po kroku, jak normalny, grzeczny dzieciak w szarym płaszczyku i berecie z antenką na głowie.

– Rok 2032. Lipiec –

Pan Jan… A więc pan Jan szedł sobie jak gdyby nigdy nic i liczył kroki. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem… W zasadzie mógłby tego nie robić, ponieważ od pewnego czasu jest właścicielem inteligentnego zegarka, który monitoruje takie parametry, jak ciśnienie, puls i poziom cukru, oblicza liczbę spalonych kalorii, śledzi cykle menstruacyjne, co akurat pana Jana nie dotyczy, a także – co najważniejsze – bardzo dokładnie liczy kroki. Kroki te zapisywane są w specjalnym rejestrze ponieważ pan Jan zgłosił się do rządowego programu o nazwie: AKTYWNY SENIOR.

Siedem tysięcy kroków dziennie to minimum, a dziesięć tysięcy to zalecany dystans. Gdy człowiek wyrobi tę normę, może liczyć na ulgi i bonifikaty. Program ten dotyczy głównie osób starszych, elegancko nazywanych seniorami.

Seniorzy, którzy spełnią to kryterium, mogą korzystać z przyspieszonych porad lekarzy specjalistów. Co chyba najważniejsze, przydzielani są im także pielęgniarze – opiekunowie. Mogą oni również korzystać z turnusów rehabilitacyjnych w Polsce, a nawet i za granicą. I to na bardzo korzystnych warunkach finansowych.

Ten nowatorski program wdrożony został dosłownie rok temu przez Ministerstwo Zdrowia. Idea jest prosta: ruch to zdrowie. A więc, seniorze, nie siedź w domu, ruszaj się, chodź, biegaj, a wtedy będziesz zdrowszy. Społeczeństwo dzięki temu przeznaczy mniej środków na to twoje zdrowie.

Dziś pan Jan szedł uważnie, krok po kroku, w stronę Pałacu Kultury i Nauki. Wokół pałacu krzątało się kilkudziesięciu ciemnoskó-

rych robotników rozkładających rusztowania, które na razie sięgały do dziesiątego piętra, ale podobno w ciągu najbliższych tygodni mają pokryć cały budynek. Rozpoczął się remont elewacji, a socrealistyczna ornamentyka ma zostać usunięta. Zniknąć mają także liczne posągi stojące u stóp pałacu. Tak, aby pałac był bardziej nowoczesny i swoim wyglądem oddawał ducha czasu. Ducha postępu i nowoczesności.

Pan Jan podszedł bliżej, tak blisko, że mógł usłyszeć głosy dochodzące z placu budowy. Nie zrozumiał ich, brzmiały obco. Zapewne były to jakieś afrykańskie języki. Może arabskie? Trudno rozstrzygnąć. Niemniej chwilę tam postał. Popatrzył. Posłuchał. Tym bardziej, że zaczęli coś śpiewać, a nawet tańczyć. Tak już jest z tymi cudzoziemskimi robotnikami, których coraz więcej jest w Warszawie.

Pan Jan lubił atmosferę wielkiej budowy. Może dlatego, że sam był inżynierem budowlanym. Kiedyś zajmował się tak zwaną wielką płytą, ale to było dawno, dawno temu, teraz jest już emerytem.

W śródmieściu wsiadł do metra. Mógł jechać na południe, ale zazwyczaj wybierał kierunek północny, tam, gdzie kiedyś stała Huta Warszawa, a dziś budują wielkie centrum rozrywki. Wysiadł jednak przystanek wcześniej, tuż przed budowanym centrum, ponieważ był tam mały ryneczek. Lokalny. Taki z „mydłem i powidłem". Jeden z niewielu ryneczków, który ostał się jeszcze w tych czasach centrów handlowych tak wielkich, że ludzie gubią się w nich, jak kiedyś gubili się w kniejach i puszczach.

Ryneczek był mały i dzięki temu sympatyczny. Sprzedawali na nim rolnicy, a było ich naprawdę niewielu, którzy jako tako egzystowali wokół Warszawy. Można było tam kupić świeże warzywa i owoce. Jabłka. Gruszki. Czereśnie, polskie czereśnie. Czerwone. Naładowane sokiem, słodkie aż do bólu. Pan Jan bardzo lubił czereśnie. Kupił więc na ryneczku cały kilogram, dla siebie i dla żony, ponieważ po powrocie do domu zamierzał urządzić jej małą czereśniową ucztę. Zresztą ta uczta to nic takiego. Wystarczą dwie miseczki z wymyty-

mi czereśniami i jeden spodeczek na pestki. Trudno przecież wypluwać pestkę do innych czereśni. Nie to, żeby pan Jan był w tej kwestii szczególnie wymagający, po prostu ma liczne problemy z selekcją śmieci. Nie wie, gdzie wyrzucać bio, a gdzie papiery, i to jeszcze tłuste papiery. Jednakże ostatnio wprowadził drobną modyfikację i zamiast jednego spodeczka na pestki stosuje aż dwa. Jeden dla siebie, drugi dla żony. Ten drugi musi być większy, ponieważ od pewnego czasu jego żonie drżą ręce i biedaczka ma problem z odkładaniem pestek.

Oczywiście młodzi są inni. Jedzą czereśnie, a potem pestki wypluwają byle gdzie. Po jakichś kątach. Zaśmiecają. On przed laty także pozbywał się pestek w ten sposób, a nawet wkładał pestkę między palce i pstrykał. O tak… pstryk. Lecz owo pstrykanie nie było zaśmiecaniem, a raczej zabawą. Pamięta, wciąż to pamięta, jak kiedyś pstryknął tak pestką w kierunku swojej przyszłej żony, i wtedy ona na niego spojrzała. Tak ładnie, tak uroczo, że poczuł wszystkimi swoimi zmysłami, że nie ma nic piękniejszego na świecie niż ta dziewczyna i czerwone czereśnie naładowane sokiem.

A teraz co mu zostało? Spacery. I kroki. Jeden. Drugi. Trzeci. Rejestr kroków. Program. Bonusy… ale o tym coś więcej za chwilę.

Na ryneczku kupił także włoszczyznę, dużą włoszczyznę na rosół, który zawsze gotował na początku tygodnia, a dziś był właśnie poniedziałek. W każdy wtorek zaś przychodzi do niego tak zwana mięsna baba. Może i nieco pospolicie ją nazywał, ale ta nazwa bardzo mu się podoba. Otóż ta „mięsna baba" przywozi mu świeżutką cielęcinę, tak zwaną górkę, i kurę na rosół. A nie ma na świecie nic lepszego niż właśnie dobry rosół i czereśnie. Oczywiście mógłby kupić mięso gdziekolwiek, sklepów z mięsem było sporo, może nawet za dużo, ale mięso tam kupowane mu nie smakowało. Było przywożone nie wiadomo skąd i pachniało, a raczej śmierdziało antybiotykami. Pan Jan śmiał się nawet, że to mięso pachnie robakami, ale był to tylko żart. Taki sobie. Rodzaj czarnego humoru, który bardzo

panu Janowi odpowiadał, chociaż z zawodu był inżynierem. I to budowlanym. Specjalność: prefabrykacja.

Na ryneczku handlowano także książkami, które leżały w kartonach bez ładu i składu. Wszystkie książki były po dwa złote albo po pięć złotych, bez względu na gatunek i datę wydania. Były tam czytadła, ale i uznana klasyka. Do kupienia już za dwa złote. Dajmy na to, *Przygody Robinsona Crusoe* były za dwa złote. W sumie to normalne, ludzi jest mnóstwo, a wyspy bezludnej chyba nie ma już ani jednej. Był także Kochanowski, ten poeta, także do kupienia za dwa złote. I słusznie, po co siadać pod lipą, w cieniu, gdy można kupić sobie wentylator.

Zastanawiał się, czy nie kupić jakiejś książki… Może klasykę, tylko że nie miał ani ochoty, ani sił na czytanie. Miał siedemdziesiąt pięć lat, a w tym wieku raczej już się nie czyta. Raz, że oczy, a ponadto co miał przeczytać, to już przeczytał. Zaś w domu ma przecież duży telewizor i tam sobie różne rzeczy ogląda. Z kraju i ze świata. Plus reklamy.

Chociaż, chociaż… w jednym z kartonów znalazł duży notatnik, a raczej papeterię z ładnymi błękitnymi kartkami w linie. Kupił więc za dwa złote papeterię, sam nie wie dlaczego. Przecież listów już nie pisze. To nie znaczy, że nie ma do kogo. Ma syna i córkę. Mógłby do nich coś napisać, ale nie pisze. Wysyła im za to krótkie wiadomości SMS-owe.

W pudle „wszystko za 5 złotych" znalazł stary album o malarstwie. Nawet ładnie wydany. Kredowy papier. Z holenderską martwą naturą. Przekartkował i także kupił. Lubi takie albumy. Gdy był młody, to chciał studiować historię sztuki, ale ostatecznie wybrał politechnikę. Może dlatego, że jego ojciec był murarzem i marzył, że jego syn zostanie inżynierem. Najlepiej budowlanym.

Czyli tak: ma już czereśnie na „czereśniową ucztę". Ma papeterię. Ma album z malarstwem. Ma włoszczyznę. Pora więc wracać do domu. Oczywiście nie na piechotę, bo to jednak zbyt wiele kroków.

Dlatego wracał metrem. Lubił te nowoczesne wagony, a w zasadzie jeden długi, długi wagon metra, w którym widzi się wszystko na przestrzał. Kto wsiada, a kto wysiada. Widzi tam wszystkich ludzi, jak przeglądają te swoje komórki. On także ma komórkę, nieco starą, nieco archaiczną, prawie z czasów neolitu (tak o niej żartobliwie mówi), lecz jej w metrze nie przegląda. Lubi, jak wszystko jest żywe. Pies na kolanach kobiety. Dziecko w wózku. Chłopak z dziewczyną. On ładny i ona ładna, on młody i ona młoda. Wbiegają do wagonu, przez chwilę się śmieją, a potem – co oczywiste – i oni sięgają po swoje komórki.

Tak, tak, fajnie jest patrzeć na ludzi. Bo ludzie naprawdę są niezwykli, nawet gdy tylko jednym palcem przesuwają po tych swoich smartfonach. Góra–dół. Góra–dół. Naprawdę powiadam wam, śmieszne to i zadziwiające. Pomyślał, ale jakoś tak poważnie, dostojnie, tak jakby jakąś świętą księgę obmyśliwał. Jakby gdzieś na pustyni długim gęsim piórem coś zapisywał. Do księgi, a przynajmniej na tej błękitnej papeterii za dwa złote. Pan Jan uśmiechnął się delikatnie, a potem spojrzał na reklamowy monitorek, jeden z wielu w tym wagonie metra. Pojawił się na nim krótki filmik. Dynamiczny. Droga wijąca się w kierunku ośnieżonych gór, a na drodze czerwony kabriolet, w kabriolecie zaś para staruszków. On ma jasny kapelusz, ciemne okulary, ona zaś długi szal. I zaraz wyświetla się napis: RZĄD WDRAŻA NOWATORSKIE PROGRAMY DLA SENIORÓW. I bardzo dobrze, pomyślał pan Jan, że wreszcie dba się o starych ludzi…

Gdy wysiadł z metra na stacji Politechnika, przez chwilę zastanawiał się, czy najpierw pójść do swojego garażu, czy też zajść do domu. Postanowił jednak najpierw pójść do domu, nie dlatego, że torba z zakupami ciężka, tylko dlatego, że żona to żona. Tym bardziej, że pewnie czeka na czereśnie. Gdy tylko otworzył drzwi, to już w progu zawołał:

– Kupiłem kilogram świeżych czereśni! Co ty na to, kochanie!?

Jednak żona mu nie odpowiedziała. Leżała w łóżku, wpatrując się w sufit. Pan Jan umył trochę czereśni, wrzucił je do miseczki, a następnie wyjął spodeczek z szafki i tak zaopatrzony usiadł obok żony. Aby nie pomyślała, że jest starym smutnym człowiekiem, zawiesił sobie na uchu dwie połączone czereśnie. I teraz wyglądał jak zakochany sztubak.

– Kochanie, byłem na rynku. Kupiłem papeterię. Sam nie wiem, dlaczego to kupiłem. Włoszczyznę także kupiłem. Jutro przyjdzie ta nasza „mięsna baba", więc ugotuję ci rosół.

Żona pana Jana milczała, jednakże po chwili spojrzała na męża.

– Chcesz coś powiedzieć? – dopytał pan Jan. – Mów. Słucham.

– Kiedyś przebiegłam sto metrów w jedenaście sekund. A teraz… Będę musiała jeszcze potrenować.

– Oczywiście, kochanie, oczywiście, treningi są najważniejsze.

– Czy nie jem za dużo? Objadam się i przez to źle się poruszam.

– To tylko czereśnie. Zobacz, jakie słodkie…

Żona pana Jana otworzyła usta. Jak ptaszek. Jak pisklę. A gdy poczuła na języku czeresienkę, zgniotła ją zębami. Tymi, które miała. Pan Jan podsunął spodeczek i czekał, aż żona wypluje pestkę.

– Prześpij się z godzinkę, a ja w tym czasie pójdę do garażu. Kiepsko wchodzą mi biegi. No i klakson. Klakson wciąż nie działa. Wciskam i nic. Zero.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko zamknęła oczy. Chyba próbowała zasnąć. Pan Jan położył czereśnie na stoliku i poszedł się przebrać. Do garażu zwykle chodził w czymś gorszym, bo zawsze mógł się ubrudzić smarem lub czymś podobnym.

– Marysiu, wychodzę – powiedział na pożegnanie.

Żona mu nie odpowiedziała. Chyba już spała. Była kobietą siedemdziesięcioletnią z dużym plusikiem. Kiedyś była lekkoatletką, setkę biegała prawie w jedenaście sekund, co jest naprawdę bardzo dobrym wynikiem, a dziś kiepsko się porusza, a ponadto coś prze-

kręciło się jej w głowie. Wyobraża sobie, że znowu biega na stadionach świata. Jest młoda, zwinna i szybka jak gazela.

Lecz wiadomo, starość nie oszczędza nikogo, nawet najszybszych kobiet na świecie. Poznał ją wiele, wiele lat temu, gdy był młody i ona była młoda. Mieli po dwadzieścia kilka lat, a wtedy człowiek jest naprawdę bardzo kochliwy, co nie jest przecież takie złe. Dobrze się zakochać w sympatycznej i młodej dziewczynie. Poznał ją w ten sposób, że zaproponował jej bieg na krótki dystans. Wiedział, że to sportsmenka, ale męska ambicja kazała mu wyzwać ją na pojedynek. Oj, głupi był, głupi, bo zanim on przebiegł pięćdziesiąt metrów, ona była już na mecie. Była naprawdę szybka, i kiedy on z trudem łapał oddech, wtedy podeszła do niego i ni z tego, ni z owego pocałowała go w policzek.

„Nie przejmuj się, i tak zawsze będę szybsza niż ty…" – chyba tak powiedziała. Tak, to pamięta. Te słowa… Cudowna dziewczyna. Dlatego została jego żoną. A teraz leży w łóżku i z trudem potrafi zjeść czereśnie. I takie życie zgotowałeś nam, Panie Boże… pomyślał pan Jan, otwierając drzwi do swojego garażu na posesji, z tyłu ulicy Wilczej.

Pan Jan mieszka trochę dalej, w socrealistycznym domu na Placu Konstytucji w Warszawie. Ten dom, a raczej cały plac zbudowano na początku lat 50. XX wieku, w okresie wczesnego komunizmu. Plac był rozległy, idealny na defilady i przemarsze. Domy mieszkalne także zbudowano z rozmachem, niejako ponad stan, z podcieniami, i obłożono je piaskowcem. Na placu wzniesiono trzy potężne kandelabry, czyli takie wysokie lampy z podstawami, na których można było sobie przysiąść. Były tam także liczne płaskorzeźby: hutnika, włókniarki, murarza i nauczycielki. Jednak po kilku latach zaprzestano takiego budownictwa, pełnego ornamentyki, ni to renesansowej, ni to robotniczej, ni to sowieckiej. Budownictwa zbyt kosztownego i zbyt materiałochłonnego. Gdyby dalej tak budowano, to mieszkań byłoby tyle, co kot napłakał. Dlatego potem zwyciężyła „wielka

płyta" jako nowy, zmodernizowany system budowania mieszkalnego. Zresztą, tak budowano już na owym zgniłym Zachodzie przed wojną. Ów system nazywano „maszynami do mieszkania", i po pewnej adaptacji zastosowano go także w komunizmie.

Wtedy, przed laty, były rozmaite programy mieszkaniowe – spółdzielcze, zakładowe… Oczywiście na mieszkanie czekało się lata, a nawet dziesiątki lat. Niemniej programy były, a to ważne. Ważne, jak są jakieś programy. Jak jest program, to jest nadzieja, myślał pan Jan. Czeka się, czeka, aż w końcu się doczeka. Ojciec pana Jana był murarzem i też się doczekał. Dostał w końcu mieszkanie. Tak, d o s t a ł, i to nie byle gdzie, bo na samym Placu Konstytucji w centrum Warszawy. I teraz w tym mieszkaniu po śmierci rodziców mieszka pan Jan z żoną.

Garaż nie był na placu, chyba tylko dlatego, że ówcześni architekci oraz ludowa władza nie przewidywali, że klasa robotnicza, która tu zamieszka, będzie miała samochody. Chociaż klasa robotnicza, która tam zamieszkała, nie była do końca czysta klasowo. Raczej, w przeważającej większości, byli to urzędnicy czy działacze partyjni. Zresztą dla nich też nikt nie przewidział garaży. Garaż był jakimś zbytkiem, fanaberią. Snem. Dlatego garaż pana Jana stanowił prawdziwy rarytas, wart majątek. Taki garaż, a właściwie kilka garaży stojących w rzędzie, zbudowano na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku i sprzedano, a raczej rozdano, bardzo zasłużonym ludziom. Wśród nich znalazł się pan Jan, który już wtedy był znanym budowniczym, specjalizującym się w tzw. wielkiej płycie, oraz jego ojciec, murarz, późniejszy majster i członek partii.

A co pan Jan miał w swoim garażu? W garażu miał starego, poczciwego Poloneza, który został mu z tamtych dobrych lat. Teraz ludzie mają hybrydy, jakieś tam plug-in i tym podobne cudeńka, zaś jego samochód napędzany jest olejem silnikowym. Straszne to i nieekologiczne, ale właśnie taki samochód ma pan Jan. Jedyny plus, jaki miał ten samochód, to kolor. Modny kolor bahama yellow. Modny

chyba za Gierka i Jaruzelskiego. Pan Jan samochodu nie sprzedał. Był sentymentalny, przyzwyczajał się do ludzi i przedmiotów. W domu trzymał różne drobiazgi, które z czasem pokryły się patyną. Jednak serce mu się krajało na myśl, że mógłby te zalegające szpargały spakować do kartonów i wyrzucić na śmieci. Kiedyś nawet zaczepili go śmieciarze, którzy podjeżdżali pod jego dom wielką głośną śmieciarką, z propozycją, że jak ma jakieś niepotrzebne szpargały, makulaturę, papiery, to nawet sami zapakują i wywiozą, lecz on nie przystał na ich propozycję. Trochę bezczelni, prawda? Mają wchodzić do jego mieszkania i sami pakować papiery? Przecież on lubił stare rzeczy. Jeśli zacznie je wyrzucać, to i jego w końcu wyrzucą. Dokąd? Jak to dokąd? Na śmietnik…

Tak, tak, na śmietnik. Taka jest prawda.

Dlatego ostatnio, będąc na ryneczku, kupił stary listownik i równie stary album o malarstwie. Z holenderską martwą naturą z XVII wieku. Gdyby studiował historię sztuki, to specjalizowałby się właśnie w sztuce renesansu i baroku, dwie, jakże różne epoki. No cóż. Poszedł na politechnikę. Specjalność. Prefabrykacje, beton i stal.

Z rzeczy starych lubi także swojego Poloneza w modnym kolorze bahama yellow Powinien dawno go już zezłomować, czy nawet odesłać do huty. Jednak tego nie robi. Dlaczego? Ponieważ z tym samochodem łączą go najwspanialsze wspomnienia. Tym autem był kiedyś z żoną i dziećmi nad Morzem Czarnym. To była wielka podróż. Morze. Plaża. Plus koniaczki wieczorem.

Bajka? Tak, bajka.

Teraz każą mu oddać ten samochód, bo śmierdzi, bo diesel, bo już od lat nie ma technicznych badań, bo zalega, bo to, bo tamto. Wymyślają, tak, wymyślają ci urzędnicy, z wydziału jakiegoś tam… Bo teraz są elektryki, a on ma to gdzieś. Chce Poloneza. Lubi także przy nim majsterkować. Gdy wchodzi do garażu, to natychmiast wsiada do samochodu i sprawdza, czy wszystko działa. Prawy kierun-

kowskaz. Działa. Lewy kierunkowskaz. Działa. Klakson. Wciska. Lecz klakson raz działa, a raz nie…

– I co mam z tobą zrobić, biedaku? Milczysz – westchnął pan Jan do swojego Poloneza. Lecz nie ma w tym nic dziwnego. Po prostu pan Jan lubi sobie pogadać ze swoim samochodem. – Muszę ci ten klakson w końcu naprawić. Pojedziemy gdzieś i co?

Owo „pojedziemy gdzieś" było raczej marzeniem. Snem. Pan Jan od dawna nie wyjeżdżał samochodem, zwłaszcza że w Warszawie wprowadzono bezwzględny zakaz poruszania się starymi pojazdami. Mógł oczywiście wyrobić specjalne papiery na samochód zabytkowy. Jednakże o takie papiery teraz trudno, no i to wymaga sporo formalności. Ludzie chcą być nowocześni, postępowi, żyć, jak to się mówi, zgodnie z duchem czasu. Na szczęście są też tacy, którzy doceniają stare samochody, choć niestety dotyczy to głównie Cadillaców czy Mercedesów, a nie polskiego Poloneza. Dziwne, ale tak jest. Zresztą taki długi Cadillac i tak by się w jego garażu nie zmieścił. Jak nic tyłek by mu wystawał, a to głupio mieć takiego wystającego z garażu Cadillaca. A jego Polonez, a raczej „polonezik", bo tak go czasami nazywał, mieści się w garażu wprost idealnie.

– I co my, biedacy, teraz zrobimy? – dopytywał pan Jan, spoglądając w lusterko wsteczne. Lecz Polonez nic, ani mru, mru, zapewne nadawał się tylko na złom. Taka była prawda. Tym bardziej, że pan Jan otrzymał pismo z wydziału komunikacji, w którym informowano go, że do końca października 2032 roku musi zutylizować samochód. Czyli praktycznie za trzy miesiące. A jeśli nie, to przyślą po niego lawetę.

Położył ręce na kierownicy i chwilę siedział, delektując się tą chwilą. I gdy już się podelektował, to jednak przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód natychmiast odpalił. A jak brzmiał… Cudownie. Jak strumyk, nie, nie, wróć, jak diesel. Ten stukot, stuk, stuk, a potem… sprzęgło, gaz i pan Jan wyjechał z garażu. Nie dalej jednak niż na pięć metrów. Bał się nie tylko mandatu, ale także tego, że zo-

baczą go urzędnicy z wydziału komunikacji i natychmiast przyślą specjalną lawetę. Już widział, jak takie lawety wywożą ludziom stare samochody. Na złom, tak, na złom, a potem pewnie do huty.

Kiedy pan Jan wyjechał z garażu, ale nie dalej niż na pięć metrów, jeszcze raz sprawdził kierunkowskazy. Lewy. Prawy. Światła. W tym światło stopu i przeciwmgielne, a miał i takie… Po czym zrobił tzw. przygazówkę. Wrzucił silnik na wyższe obroty i pozwolił mu się wyszaleć. Niech popracuje, niech wybrzmi to, co ma wybrzmieć, ten cudowny terkot diesla.

Potem jeszcze klakson, ale wiadomo, klakson nie działa, tak to już bywa ze złośliwością przedmiotów martwych. Coś nie działa, a potem nagle działa. Dlaczego tak jest? Nikt tego nie wie. Nawet ci specjaliści od czarnych dziur w kosmosie pewnie tego nie wiedzą. Pan Jan chwilę posiedział w swoim samochodzie, a potem wrzucił bieg wsteczny i powoli wycofał się do garażu. Ten manewr wymagał skupienia. Obserwacji w lusterkach, lewym i prawym, czy czasem nie zahaczy o coś samochodem. Lecz owe „powroty" do garażu pan Jan miał w małym palcu. Robił to naprawdę z uśmiechem na twarzy.

Kiedy wykonywał ten manewr, zobaczył niewysokiego mężczyznę ubranego w szary garnitur. Ów człowiek miał przy sobie staromodną teczkę, chyba skórzaną, zapinaną na dwa błyszczące zamki. Pan Jan przypomniał sobie, że ten człowiek już od kilku dni kręci się w jego pobliżu. To był on, tak, on… Co prawda udaje, że się nie kręci, ale kręci się, i to skrycie. Takie ma odczucie. I tak było teraz. Ten dziwny niski człowieczek z teczką stał w otwartych drzwiach garażu i patrzył…

– Pozwoli pan, że się przedstawię – powiedział w końcu. – Jestem agentem nieruchomości. Widziałem pana tydzień temu, gdy wracał pan z ryneczku. Miałem nawet podejść.

– Zgadza się. Kupuję tam owoce i warzywa, ale o co chodzi? – odpowiedział pan Jan mimo wszystko uprzejmym tonem. Obawiał

się, że za nim chodzi jakiś podejrzany typ, może nawet urzędnik z wydziału komunikacji, a to tylko zwykły agent od nieruchomości.

– Mam dla pana bardzo intratną propozycję.

Pan Jan wysiadł z samochodu i podszedł do agenta.

– Tak… Ciekawe jaką?

– Wiem, że ten samochód musi pan zutylizować. I to do końca października…

– Ciszej. – Pan Jan złapał agenta za ramię i odprowadził go na bok. – Ciszej… Skąd pan to wie?

– Przecież to oczywiste. Takie jest prawo. Znam się na tym.

Agent nie wiedział tylko, dlaczego pan Jan chce rozmawiać z nim ciszej, ale niewątpliwie był profesjonalistą, więc dostosował się do stylu rozmowy. Klient chce rozmawiać ciszej, więc będzie rozmawiał ciszej.

– Mam kupca na ten garaż – wyszeptał do ucha pana Jana. – Dobrze zapłaci. Ma elektryka, a nie ma gdzie go ładować, a tu jest prąd. Prawda?

– Jest i kanał.

– Doskonale. Wiem, to drogi garaż, a ja mam kupca. Ma pieniądze, dużo pieniędzy, i mieszka obok. Ma już wszystko, ale nie ma garażu.

Pan Jan gwałtownie potrząsnął głową, co pewnie miało znaczyć: „W żadnym wypadku, chyba że po moim trupie". Szybko zamknął garaż, prawdopodobnie nie chciał, aby tę rozmowę ktoś słyszał. Chociaż w pobliżu nie było nikogo, był tylko on, ten agent nieruchomości z teczką, no i jego „polonezik".

Odszedł, lecz ten typ szedł za nim. Ten niski, ten kurdupel. Zna takich ludzi, ponieważ jego syn pracował w takiej agencji, a raczej firmie spedycyjnej. I to międzynarodowej. Harówa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przez pierwsze lata miał ambicje być rekinem biznesu, ale to odchorował i teraz już nigdzie nie pracuje. Odpoczywa.

– Halo, to jak?! Dobrze panu zapłaci. To okazja – gadał ten gościu z agencji. Bezczelny. Mały i bezczelny. Pan Jan odwrócił się i wygarnął agentowi:

– A skąd pan wie, czy nie kupię sobie jakiejś hybrydki? Planuję z żoną wyjechać nad morze. Wynajmę tam pokój i będziemy razem chodzili na spacery. Lubię spacery. Kroki. Od pewnego czasu liczę kroki.

– Kroki, jakie kroki? – Na twarzy agenta pojawił się grymas, jakby jakaś muszka owocówka wpadła mu do ust. Może w ten sposób dał panu Janowi do zrozumienia, że pomysł wspólnego wyjazdu z żoną jest jakimś urojeniem, biorąc pod uwagę stan zdrowia żony pana Jana. – Mój klient dużo panu zapłaci. Gotówką. Przelewem, jak pan tylko zechce – gadał, wciąż idąc za panem Janem.

Doprawdy, tego było zbyt wiele. To nie człowiek, to sęp! I skąd ten agent wie, że musi oddać samochód na złom, chociaż on nikomu tego nie powiedział? Ani synowi, ani tym bardziej żonie. Tylko on to wie, a teraz jak się okazuje, wie o tym także ten mały. Ten kurdupel z teczką.

– Panie, daj mi spokój! Odwal się! – krzyknął do agenta i już nie odwracając się, odszedł szybkim krokiem. Dyszał. Poczuł, jak boli go serce. I gdzieś w okolicach pachwiny. Bał się, że jeżeli umrze, to właśnie na serce. Nagle. I to we własnym garażu. Osunie się na posadzkę i będzie tak leżał. Tygodniami. Chociaż nie, może ostatkiem sił doczołga się do samochodu. I właśnie tam umrze. Tak, tak, to byłaby piękna śmierć w moim poloneziku. Ręce na kierownicy, a głowa odchylona. Nie tyle umarłem, co raczej na wieki przysnąłem…

No nic. Pora odgonić te czarne myśli.

Pan Jan obejrzał się… Na szczęście agenta już nie było. Zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Wracał do domu powoli. Kiedyś policzył kroki pomiędzy garażem a swoim domem. Wyszło mu gdzieś tak osiemset kroków. Dziś już nie liczy, dziś ma inteligentny zegarek. Zegarek liczy sam i prze-

syła te dane do Ministerstwa Zdrowia. Inne dane też przesyła. Tam zapewne analizują wyniki i jak coś jest nie tak, to wtedy wysyłają SMS-y z ostrzeżeniem. A nawet przysyłają pielęgniarza. Z tym że pielęgniarz i tak przychodzi do jego żony, co drugi wtorek, między godziną 12 a 14.

Gdy doszedł do domu, przestał myśleć o krokach i wsiadł do windy, a tam czekała na niego kolejna niespodzianka. Zobaczył w niej młodego przystojnego murzyna. Ubranego kolorowo, w plażowe szorty, co było dziwne, ponieważ Warszawa nie leży nad morzem. Ów ciemnoskóry przystojniaczek w ręku trzymał specjalną torbę, w jakiej rozwozi się pizzę. Nie było w tym nic dziwnego. Niemniej, tak mu się wydaje, tego roznosiciela pizzy widział już kilka razy i z tego, co wie, ową pizzę dostarcza regularnie jego sąsiadce.

Ale to nie wszystko, co go spotkało w windzie, ponieważ w windzie była także prostytutka… Tak, tak, wyuzdana prostytutka, jest tego pewien, ponieważ miała obcisłą sukienkę. Krzykliwą. A także wymalowane przesadnie usta. Mało tego, ta kobieta, ta prostytutka, niby to poprawiając włosy, spojrzała w lustro i mrugnęła do pana Jana. Mrugnęła wyzywająco. I te usta. Czerwone. Wręcz krwiste…

Dziwne, że tak go uwodziła. Był naprawdę starym człowiekiem. Już nie myślał o kobietach, a tym bardziej o młodych. Dobrze wiedział, że młode ładne kobiety są poza jego zasięgiem. Jeżeli już, to tylko mogą mu się przyśnić. I tyle… Przyśnić. I teraz ta dziwka, ta prostytutka, wystawiła język i tym językiem oblizała czerwone usta. A on stał jak zamurowany, bo ile kroków można zrobić w windzie. Jeden, dwa, to wszystko. I pewnie ten jego inteligentny zegarek zarejestrował także, jak podskoczył mu puls. I ciśnienie, to dolne i to górne.

I jaki przekaz pójdzie do Ministerstwa Zdrowia? Że co, jedzie windą i nagle się podnieca na widok wymalowanej prostytutki?

Boże… Próbował wyłączyć ten inteligentny zegarek, ale nie wiedział, jak… Na szczęście nie miał erekcji. Ostatni raz miał ją, to znaczy tę erekcję, dwa lata temu w garażu, gdy kluczem, a dokładnie siedemnastką, przykręcał klemę do akumulatora. Poczuł dreszcz, przeszywający prąd i wtedy to poczuł, ten wzwód, ale było to dawno, może nawet wieki temu. Lecz to nie wszystko, ta kobieta, ta dziwka, trzymała w koszyku małego kotka, takiego śmiesznego, czarnego. Pewnie wiozła go w podarku dla fotografa, który mieszka piętro wyżej. Nie ma tygodnia, aby ten fotograf nie sprowadzał sobie takich kobiet. Tylko dlaczego kot w koszyku? Po co im kot? Czarny kot. Ale teraz ludzi ogarnął jakiś demon seksu i może dlatego potrzebują małego kotka jako „tego trzeciego". Jakiegoś wspólnika seksualnych igraszek. Może tak… Pan Jan zdał sobie sprawę, że za dużo myśli o seksie. O młodych kobietach. O czarnych kotach. W tym wieku powinien jakoś się wyciszyć. Kroki, kroki, wystarczą mu kroki. Rejestry. Programy. Najlepiej rządowe. I spokojne spacery wokół Placu Konstytucji.

Pan Jan spuścił wzrok. Gdy byli na jego piętrze, wysiadł z windy bez słowa. Wyszedł też ten ciemnoskóry roznosiciel pizzy. Poszedł w lewo, on zaś w prawo.

Z ulgą wszedł do mieszkania. Zbyt dużo wrażeń tego dnia. Zbyt dużo… Chociaż może przesadza. Histeryzuje, co w tym dziwnego, że jakaś dziewczyna wiezie w koszyku małego czarnego kotka. Nawet jak to jest prostytutka, to dlaczego ma nie trzymać kota w koszu? I co złego jest w kocie? Może jest tak, że ów fotograf ma urodziny albo imieniny i dlatego jakaś dziewczyna, wielbicielka jego talentu, wiezie mu kota w prezencie? Ktoś kupuje kwiaty, ktoś inny dobry alkohol, a ktoś jeszcze inny kupuje kota.

Tak, tak, zbyt wiele myśli dopadło go tego dnia. Zbyt wiele czarnych myśli. Czarnych jak ten kot. Kotek. Kotek w koszyku. Na szczęście zaraz się uspokoi w swoim domu.

– Kochanie, już wróciłem! – zawołał radośnie do żony z przedpokoju. – Zjadłaś już swoje czereśnie? – Lecz nikt mu nie odpowiedział.

Podszedł do żony. Nachylił się. Na szczęście spała jak zabita.

Pocałował ją w policzek, a potem usiadł w fotelu. Spojrzał na swój inteligentny zegarek. Dziś zaliczył 9755 kroków. Całkiem niezły wynik. Tylko ten puls. Puls miał znacznie powyżej normy, ale oni chyba już o tym wiedzą…